

Pamięta Pan jak wyglądała sytuacja...

Urodziłem się w Raszowej i byłem w Raszowej przez cały front, ani jednego dnia nie opuściłem wioski. Przez cały front byłem jednym z nielicznych, którzy przeżyli to piekło powojenne, no i tak potem poszło.

Niech Pan opowie coś o tych wydarzeniach z czasów II wojny światowej

Był 23 stycznia, to była akurat zima, mróz. Front nadchodzi, ludzie masowo uciekali z wioski. Byli tacy powiedzmy też tutaj wtedy działacze w czarnych mundurach, którzy zostali tutaj. Ludzie napływali. „Ludzie nie róbcie paniki” – bo ludzie i uciekali stąd. No, a ludzie tam nie słuchali tylko szli wszyscy w kierunku Koźła, a jak byli już przed Koźlem, on samochodem ich wyprzedzał. A oni: „Panie B., pan też tu już jest. Pan chciał być w Raszowej...” W każdym bądź razie po południu 23 pierwszy Rusek przyszedł tu. Ja tu nie mieszkałem, ja się tu ożeniłem. Ja mieszkałem przy stacji. No i tam przy stacji przyszedł Rusek, tam była babcia taka sąsiadka, ona tak troszeczkę po polsku umiała. I on się pytał „Chazajka a kuda koni” No, pokazała, tam wskazała takie gospodarstwo i tam były konie. I on przyszedł za chwilę tutaj i tu trzymał. No i się rozpoczęło to piekło. Bo front zatrzymał się na Odrze, wojsko posunęło się aż do lasu. W lesie było dużo, zrobili sobie powiedzmy bunkry, naścinali drzewa, że by tam jakoś tam, ten. No i tu te mieszkania, które były puste służyły jako kwatery. Nanieśli słomy i tak spali. No i co było to wzięli do jedzenia, no a my wtedy spali w piwnicy i tam się zgromadziły trzy rodziny i tak my spali. I to był ten okres najtrudniejszy między np. 23 stycznia a 18 marca, aż się front przeniósł na drugą stronę rzeki. No to i ludzie którzy tutaj byli, no przeważnie dziewczyny... Co to będziemy gadać. Ile było gwałtów. Gadać itd. nawet nie będę wspominał. Bo nawet później nas dzieci, ja miałem 11 lat, ja o tych rzeczach nie wiedziałem jeszcze wiele... Ale „Malczyk idi sjuda. A dziewczki są?” „No są” „No to skażi kuda” No ja musiałem, no nie musiałem, nieświadomie wskazałem. Dostałem za to baty od rodziców. Ja, ale to było nieświadomie. No i co będę tutaj gołdać na te... Przez długie lata nazwiska znałem, to co było znałem. Ale to nie wyjawniłem nikomu, bo to po co komu wiedzieć. Bo to potyn były dzieci i rodzina, i po co wiedzieć, że mama była przez Ruskich sponiewierana.

A czy te kobiety które były zgwałcone przyznawały się otwarcie do tego? Tutaj w wiosce wiedzieliście o tym?

No ten kto widział to wiedział. Ale tu praktycznie ja nikomu nie mówiłem, bo po co to było potrzebne. Tylko co jest. Były napisane różne książki po wojnie. Tylko każdy autor zapomniał wspomnieć o aborcji. Którą babcia, którą mama chciała ruskiego bękartą? Żadna, żadna. No i wtedy były takie babcie. No jak było tyn... Przyszli. My byli tacy młodzież cieawi, „Po coś ty przyszła?” No i to był okres kiedy nie było ani łazienek, bo to wtedy na wsiach nie było jeszcze łazienek. No i jak tą aborcję robili? Najpierw robili jakąś miksturę. Nie wiem z czego, bo to była ich tajemnica. Dziewczyny do jakiegoś pokoju, miednica, w rozkroku stań i wypłukali pochwę. A my dzieci zawsze... Oni nakroili chleba „A idźcie się pobawić, idźcie”. No bo zrobić, w domu tyle dzieci. A my zaś „Po co wy nas wypychacie na podwórko?” My byli też ciekawi. To albo pod

okno, popatrzeć – to nie było zasłonięte, to widzieliśmy co tam się robi. Ale to nie zostało nigdy po wojnie opisane. Przez żadnego autora. Bo na tą ilość gwałtów, to Ruski nie wierzę i nikt nie wierzy, żeby Rusek zastosował środek antykoncepcyjny. Tak te dzieci nie było tych dzieci tyle. U nas było tylko troje dzieci we wsi, co po ruskich. Co jeszcze są do dziś dnia. No ale to jest temat taki ten. No ale już nie będę mówił jak Ruski żywili się z tego co na wsi było. Każdy miał jakąś krowę, byk, drób. Uspokoilo się to jak się front przeniósł 18 marca na druga stronę Odry. No, ale to jeszcze chcę mówić prędzej jeszcze. Dwa tygodnie później przez wioskę jedyn oficer i jedyn ordynans. Ordynans miał dzwonek, dzwonił, a jak nikt nie wychodził z domu, to on strzelał do powietrza pistoletem. I to był tłumacz. On w języku niemieckim. I on mówi „Männer von 16 bis 70 Jahre melden Sich in 50 Minuten in diesem Sammelort”. I wskazywał miejsce zbiórki. Ojciec był w domu. No ale jak mama usłyszała zaraz trzęsła się, pomogła mu tam nakroić chlebek, napakowała mu jakiś pakiet. I poszliśmy z ojcem, mama, ja, tyn tata na to miejsce zbiórki. Tam już było, ja ich naliczyłem 17 mężczyzn, co byli zgromadzeni. I mama się pyta tego Ruskiego „Herr Offizier wo fährt diese Männer?” „Na robotu, na robotu”. No jak na robotu... A oni prowadzili ich stąd Januszkowice, Zdzieszowice, Leśnica, Zalesie, Sławięcice, Pyskowice i tam ich ładowali na ten ich pociąg i pojechali. No i to tak. Tyn cały szczęście było, że mój tato wrócił. Ale on wrócił po 8 miesiącach. To było akurat tyn początek. Zaś jak front się przeniósł to na druga stronę Odry znów szukali ludzi do demontażu zakładów, np. Zdzieszowice, no ale mężczyzn już nie było. No, ale tam z mojego sąsiedztwa gdzie ja mieszałem zabrali 8 dziewcząt i między nimi były 3 mężatki. Ruski zabrali i nie wiadomo... Po kilku tygodniach przyszedł pantoflową pocztą „Wiysz prawdopodobnie te dziewczyny są zatrudniane w Zdzieszowicach”. No a przyszła babcia do mamy powiedziała „Ana, weź tam poślij chłopców na zwiady, niech się tam dowiedzą gdzie oni są”. Posłali nas, a my przez Krasowe, przez pola do Zdzieszowic i chodzimy. Lager, druty kolczaste, baraki. I tam jest Ruski taki wachtyrz. „Malcziki a wy czto?” My gołdali „Wir suchen Tante Agnes” „Nazwisko, Nachname.” Nazwisko my powiedzieli K. i za chwilę przyszła ciotka, ta przyszła ciotka do płotu. Ona pyta się i my mówili. Brat był starszy „Szukamy Was, wszyscy są zaniepokojeni są gdzie jesteście. A ona mówi „My wszyscy tu pracujemy. Wszystko dobrze, ale brak jedzenia”. I od tego czasu przez kilka miesięcy my prawie codzienne z obiadem potem do Zdzieszowic szli. No i to oni jak ... Byli zatrudnieni w stołówce zakładowej. Pakowali do skrzyń, do takich kartonów naczynia kuchenne, wszystko co w kuchni jest, od talerzy, od sztućców, od garnków, wszystko ile było. Bo tam to wszystko zostało do zera naładowane a wozy i poszło. Jak się stołówka zakładowa skończyła, to do kasina zakładowego i to samo. Wszystko co tam było, tyn. Jak już tam nic nie było, to później ładowali na... Poszli do mieszkań, bo tam przyzakładowe były mieszkania tej kadry kierowniczej. Ci mieli super meble. To wzięli się za meble i musieli dziennie ładować na ten samochód, no meble, no wszystko co było w mieszkaniu. No jak już tam nic nie było, no to potyn już poszli na zakład do demontażu tego zakładu. Ale w międzyczasie to nim poszli do zakładu, to co Ruski poszerzyli tor z Kędzierzyna do Zdzieszowic. Poszerzyli tor. Na naszym podwórku gdzie j tam mieszałem, była kuchnia

polowa. A ja byłem malczik Alosza, tak mnie nazywali. Ja musiałem przynieść drzewa, bo na stosiku było narąbane, ale ktoś musiał przynieść pod kuchnię tam polową. A ten kucharz i on się ze mną, jakby to było... Ja nie mogę narzekać, on mnie lubił. I musiałem iść po szczaw. Co drugi dzień kosz szczawiu na łąkach natargałem. Bo on im gotował zupę szczawiovą. I ja byłem potem jako pierwszy. To dostałem taką metalową miskę i stałem tutaj i za mną cały sznur tych ruskich pionierów, którzy poszerzyli ten tor. Bo to my mieszkali 30 m od tego toru, także to było blisko. I oni przyszli pojeść. I w międzyczasie, tak jak powiedziałem, ten tor był zrobiony i później już systematycznie jechał ruski pociąg do Zdieszowic i dziennie rano jechał pusty, wieczorem jechał pełny. Tak to trwało. Ostatni transport 13 sierpnia. Mama miała 40 lat 13 sierpnia. I ona powiedziała „No to dzisiaj upieka – nas było 4 chłopców – babka i zrobimy sobie kafej”. No i tak upiekła babka, była godzina 11 może wpół do 12. Jechał pociąg z Zdieszowic w kierunku Kędzierzyna. Na peronie stop. Z pociągu wyskoczyła cała załoga, która była tam, np. Ruskich, która była w Zdieszowicach, babki, chłopcy, średniacy. No nie wiem skąd się wzięli. Do tych pobliskich domów. No i wszystko co już mieli ludzie po wojnie nagromadzone. Jeden już miał koc, jedyn pierzinka, jedyn coś tam.... Wszystko nieśli do pociągu i o umówionej godzinie tyn maszynista dał znak tym parowozem, skoczyli wszyscy i baj, baj jechali do ruskich. A my płakali bo ani babki nie mieli. A co kto miał, wszystko wykradli. Ruski wszystko wzięli. To już był sierpień. (...) I tak to było już ten.

Myśmy mieli o tyle, że nasza szkoła podstawowa. Bo jeszcze inaczej. Wiadomo, że tu się urodziłem i chodziłem do niemieckiej szkoły, bo to wiadomo. Po 4 latach szedłem do Kędzierzyna do szkoły średniej. No tyn rok nie skończyłem, bo był przerwany ze względu na front. I później już cały 1945 rok nie było nigdzie, nie było, tutaj Polska nie zrobiła żadnej szkoły takiej zastępczej, dzieci miały ferie. Cały rok mieliśmy ferie. I dlatego nam było możliwe iść z tym obiadem. My chodzili zbierać runo, bo my się tylko żywili tak szczerze mówiąc z runa leśnego, wszystko co las dał. A las dał jagody, borówki, no grzyby, jeżyny, maliny, no wszystko co tam można było, to my sprzedawali. Rano myśmy byli w lesie. Co myśmy nabierali po południu szliśmy do Kłodnicy. Tam był punkt skupu i tam żeśmy sprzedawali. Dostawaliśmy kilka groszy i z tego my żyli. Tak my taq żyli cały tyn. Rozpoczęliśmy szkołę tu w 1946 roku, nie pamiętam już teraz ten. Był postawiony barak taki wojskowy i tam zrobili taką zastępczą szkołę i tam myśmy się uczyli. I tam skończyłem niby tę VI i VII klasę. Ale to było wszystko początek. Uczyliśmy się języka polskiego, bo w domu mówiliśmy tylko po niemiecku, to jest normalne. 1 IX 1948 roku przeniosłem się, bo tam otworzyli w Zdieszowicach w zakładzie gimnazjum przemysłowe. Tam były dwa oddziały chemiczny i mechaniczny. Ja szedłem na wydział mechaniczny. Uczyłem się ślusarstwa. No tak znałem takie troszeczkę przykre sprawy. Bo ja do dziś nie umiem tak płynnie po polsku, a wtedy to kaleczyłem ten język. I ten nauczyciel był taki trochę bezwzględny. „Wy Germańcy, wy Szwaby, ja bym was w palcach zgniót!” No i się rozplakałem gdy mi tak przygroził. Przeszedłem do domu i mama poznała żeśm płakał Pytała „Czemuś beczół?” Bo to beczeć było tak po śląsku, no i ja tłumaczę, że mnie nauczyciel nazwał Germańcem i Szwabem „Nie rób sobie

nic z tego. Jeśli to się powtórzy powiedz mu tak: Ja nie mogę nic za to, że się tu urodziłem, a pan nie umie za to, że się urodził gdzieś w Krakowie, Warszawie czy ten. Ja chodzę do szkoły by się nauczyć poprawnego języka”. No i to skutkowało. I miałem jako tako spokój. No i te trzy lata skończyłem tej szkoły w Zdzeszowicach i dostaliśmy nakaz pracy do Azot. I rozpocząłem moją pierwszą pracę zawodową w Azotach 15 lipca 1951 roku. No ale co jeszcze tam chciałem pani powiedzieć.

Jak wam się żyło w czasie wojny, ale już od 1939 roku, zanim przyszedli czerwonoarmiści?

Tato robił w Celulozie w Kofamie, na porcie były zakłady celulozowo-papiernicze w Koźlu. Zellstoff-Fabrik Waldhof Werk Cosel, tak to się wtedy nazywało. Fater jeździł do pracy, no nam się nie przelewało, my musimy powiedzieć, on nie miał zawodu, był zwyczajnym takim pracownikiem, no ale miał czwórkę dzieci i żona piąta osoba, no i to tak jak to było. Kiedyś się nie przelewało. Bo dziś standard życiowy jest o wiele, wiele lepszy. No ale on jeździł do pracy zarabkował, my starsi już do szkoły. Ci jeszcze nie chodzili do szkoły, bo dopiero się ci młodszy...

Ojciec nie poszedł do wojska?

Ojciec był po chorobie Heinego-Medina. Rękę miał taką bezwładną, taki miał paraliż i dlatego on był jakby to tak nazwać inwalidą. Ale i dlatego nie poszedł do wojska.

A gospodarstwa nie mieliście?

Nie mieliśmy. Nie przelewało się. Więc to co dzisiaj, albo co już moje dzieci po wojnie mieli, to myśmy tego nie mieli.

Jak było w szkole w czasie wojny?

Dyscyplina. W szkole to myśmy mieli. Jak ja szedłem w 1940 roku to jeszcze było dwóch nauczycieli, dyrektor szkoły był trzeci mężczyzna i były kobiety. Rozpoczęła się wojna. Oni mężczyźni poszli do wojny i zostały te. Na jedną nauczycielkę przypadło 70 dzieci. Takie było nauczanie trudne. I to jakby dzisiaj komuś powiedzieć, to ten który nie zna szkolnictwa nie umie sobie wyobrazić. Mężczyzn wzięli do wojny i zostały same kobiety. Dwie kobiety. I to do południa i po południu. To tak sobie zorganizowali ,że czasem mieliśmy lekcje i po południu i do południa.

Jak się mówiło w czasie wojny? Tylko po niemiecku i czy po śląsku?

No tak po śląsku to ci starzy, A my jako młodzież my byli wychowano. Jak szedł ktoś, to my trzy metry przed nim „Heil Hilter” so wie so powiedzieć, a kto tego nie zrobił ten dostał na drugi dzień w szkole okropne baty. Ale takie były czasy i tak się to robiło. No ale tak najlepiej nie było. Ja mogę powiedzieć, że dzieciństwo moje było ciężkie, trudno, bo stosunkowo jak później ja przeżyłem będąc już starszym , to już było to.

Pamięta pan naloty? Jak pan to odbierał?

Ja w tym okresie chodziłem już do Kędzierzyna. Myśmy w Kędzierzynie nasza szkoła była na ulicy kozielskiej, ona dziś tam też jest szkoła. I nas obowiązkowo nauczycielka prowadziła do bunkrów na Pogorzelec, były takie bunkry betonowe. Do dzisiaj stoją tam. I my jako dzieci szkolne byli. Był jakiś znak, że są naloty. Myśmy musieli iść do bunkrów. A po nalotach to my szli zbiórką do szkoły.

Bardzo się baliście?

My jako dzieci nie zdawaliśmy sobie bardzo sprawy. My patrzyli czasem staniole takie spadały z nieba. Tylko samoloty było widać, jak oni wzdłuż Odry tutaj fruwali aż nad Zdzieszowice. I nad Zdzieszowicami się troszeczkę obniżyli, wyładowali swoje bomby i z powrotem jechali z hukiem Artyleria była, to jedna była tu niedaleko u nas prawie że, za wioską jednostki artylerii przeciwlotniczej, były ostrzały. No ale byli w bunkrach

A po II wojnie zaraz. Pamięta pan wysiedlenia ludzi do Niemiec z Raszowej albo okolicy?

Jak to wyglądało to pani powiem. My tu zostali. I jak się troszeczkę uspokoiło każdy musiał się zgłosić do biura gromadzkiego, bo na każdej wiosce było biuro gromadzkie, siedział tam jakiś sekretarz, pisarczyk, komisja weryfikacyjna. I mama, taty nie było, idziemy. Mama tego małego na rękach, bo on dopiero był w październiku, o miod pół roku. To było w kwietniu jak my szli do tego biura gromadzkiego. Przychodzimy. Personalia. I przyszło pytanie: „Pochodzenie?” Mama mówi „Niemieckie”. „Jakie?” „No niemieckie”. „Pani, jak jeszcze raz powtórzy, to musimy panią wysiedlić”. „Święty Boże, ja się stąd nie rusza. Chłopa żeście mi zabrali. Mam czworo dzieci, co mam z nimi? Piszcie co chcecie, ja się stąd nie ruszę”. To była taka odpowiedź mamy. I oni napisali po rusku, no wiadomo. Ale i mama im powiedziała „Ja się stąd nie ruszę, bo nie mam żadnego utrzymania, mam czworo dzieci, chłopa nie mam. Kto ma to...” I tak my zostali. A ci co tego, to oni wtedy wysiedlali ludzi. Jak tak na określonego. Ten który napisał tym. Ale większość sama uciekła, czy sama jechała jak ten była pierwsza fala uchodźców w 1958 rok. To była taka ten, to była taka fala. Bo ze strony Polski ci starsi ludzie nie dostali żadnego świadczenia. No i z czego mieli ci żyć. Jedna była krawcowa co tak szyła tym ludziom. Inni którzy umieli to jeszcze u gospodarza gdzieś tam zarabiali. To była najgorsza strefa tych ludzi starszych, którzy ni dostali ani ze strony niemieckiej, bo wtedy jeszcze nie były sprawy bilateralne tak robione, ani ze strony polskiej. Oni byli praktycznie bez utrzymania. I ci zrobili jako pierwsi na wyjazd. I pojechali. Ja jeszcze pomagałem. Ja miałem takie dwie starsze panie, które no też tam. Jedna wdowa straciła męża podczas frontu, a jedna już była wdową ten. Chcieli jechać. No bezradne kobiety. Ja im tam zorganizowałam deski, jakieś tam zbiłem skrzynie. To co mieli zapakowali. Ja im odwoziłem to jeszcze aż do Chałupek, bo tam było wtedy takie ten, taka ekspedycja. Tam załadowali te wszystkie rzeczy i potem żem ich odprowadził aż do Opola, załadował do wagonu. I oni pojechali. No spotkaliśmy się można potem, no w każdym bądź razie 20 lat później w Niemczech. No była wielka radość. Oni mi byli zawsze wdzięczni, że ja jako młody człowiek pomagałem im na wyjazd.

To były te wyjazdy z lat 50.? To wróćmy do tych wyjazdów zaraz po wojnie. Dużo osób wyjechało wtedy z Raszowej?

Bardzo dużo. Wtedy ta wioska pomniejszyła się. Bardzo dużo pojechało. Tu np. jak nas było 2200 w Raszowej, to nas 600 było po wojnie. Dużo pojechało, dużo zostało. Część wróciła. Jeszcze żeśmy nie rozmawiali. Mój teściu, który tu żył, pojechał z rodziną w styczniu, wrócił

w czerwcu. Jak przyszedł dom był zajęty przez repatriantów. No przyszli. No oni byli jednakowoż jako tako ludźmi. Przeprasili, że oni mówili, że oni przyjechali, zostali też wypędzeni ze wschodu, nie wiedzieli, widzieli, że tu jest pusto i tu się osiedlili. No ale oni zrobili taką umowę, że oni będą się starali szukać mieszkanie. Jeżeli mieszkanie znajdą wyprowadzą się, i tak też zrobili w 1947 roku. Oni przez jakoś tak też znajomą rodzinę z Birawy, która im tam jakiś na Dolnym Śląsku też mieli powiązania i wyprowadzili się. Ale trzeba powiedzieć, że wyprowadzili się stąd w przyjacielskiej formie. To zaś trzeba powiedzieć z tą rodziną było w porządku. Tak mi bynajmniej przekazał teściu.

Pana rodzinę albo kogoś kogo pan zna spotkały działania polonizacyjne? Np. zmieniano imiona, nazwiska?

No więc, to prawie każdy który miał np. Bo ja się nazywałem Aloisius, to zostało na Alojzy. No ale w Raszowej było masę, że np. oni zmieniali, państwo zmieniało normalnie. Czasem z Hansa zrobili Jana, albo np. Hedwig na Jadwiga było przepisano. To było obowiązkowo i bez zgody tej osoby.

Pamięta Pan, by usuwano jakieś ślady niemieckie?

To było tutaj, tu jest np. nasz pomnik. Tu jest pomnik z I wojny światowej. To po wojnie były takie związki jak Kriegsverein, to był podobny do ZBoWiD-u naszego., ale to nie ten. Oni uczcili poległych w I wojnie światowej, postawili pomnik, kaplica, no ale to nie mogło być. To pierwszy był taki jeden sołtys, G. się nazywał, miał niemieckie nazwisko, który wziął jednego pracownika, starszego pan, emeryta, wymajzlował tą tablicę i miał nakaz wyrzucić gdzieś do stawu. On na to „Tak, tak, on to wszystko zrobi.” On [G.] poszedł na kielicha do gospody, a ten zamiast do stawu wyrzucić, to do swojej stodoły zaniósł i schował głęboko za słomą. I tak ta tablica została. I tak po wojnie znów została na swoim miejscu. Więc jeżeli chodzi o napisy i wszystko co było niemieckie... To nawet mój teściu poszedł na emeryturę w 1956 r., a on pracował w Kędzierzynie, w magazynie. I jak przyszedł pierwszy ten zawiadowca stacji, [kazał] wszystko co niemieckie zniszczyć, zerwać, schować. Ja, ale nawet i te wszystkie wskazówki, jak woda, tu jest kran do zakręcenia, wszystko niszczyć. Ale jak była gdzieś jaka awaria, a on już był na emeryturze, przyjechali do Raszowej, do teścia. „Pan jest może – bo teściu robił na kolei od 1926 r.– może Pan wie gdzie się tam wodę zakręci, bo my nie wiemy tego”. I tak teściu musiał bez przerwy. I tak przyjechali do Kędzierzyna, bo on był starszym pracownikiem, on wiedział gdzie tam co jest do zakręcenia. Albo jak były na rozjazdy. On był magazynier, w czasie wojny, podczas tych nalotów, to bombardowania i to te rozjazdy kolejowe umieścili nie w samym centrum Kędzierzyna, tylko poza terenem, albo do starego Koźła, albo tutaj porozwozili. On wiedział gdzie to tam, on wiedział, bo ona tam składał. Bo tam były numery rozjazdów i on wiedział. To on był na rencie, a oni przyjeżdżali do niego, żeby on im wskazał bynajmniej gdzie to jest.

(...)